ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Lutego. № 7. Roku 1857.

ZEMSTA ZZA GROBU.

— „Co do mnie“ — rzekł kapitan Garbas, otrząsając pył z cygara — „najważniejszym epizodem mojego życia był dzień, w którym zostałem rozstrzelanym.“

Zagłuszająca wrzawa, śmiech, oklaski, zapytania, okrzyki podziwienia i powątpiewania, zagrzmiały jednym chórem przeciągłym na te słowa, pełne jakiejś osobliwszej tajemniczości.

Dziwne też było towarzystwo, wpośród którego nieoceniony kapitan z tak zagadkową ozwał się odpowiedzią. Działo się to w Algieryi podczas jednej z ostatnich wypraw kabylskich. Pod ogromnym namiotem siedziało nas kilku Polaków, oficerów z legii cudzoziemskiej, wraz z kilkunastą oficerami od spahów i zuawów francuskich. Rozłożeni wielkiem półkołem na ziemi, gwarzyliśmy wśród uduszającego dymu z cygarów o tysiącznych przygodach własnych i cudzych.

Nagła przemowa kapitana Garbas wpadła jak bomba w tok naszej rozmowy, i mieszając wszystkie jej szyki, ogłuszając wszystkie głosy, wywołała ogólny wyraz podziwienia i ciekawości.

Lecz jakby na przekor wszystkim, nielitościwy kapitan zaledwie ozwawszy się z tyle obiecującym prologiem, uciął nagle, nie myśląc bynajmniej dokończyć opowiadania.

Próżne były prośby i zaklęcia wszystkich obecnych. Kapitan pozostał niewzruszony, a po chwili zapadł w jakąś głuchą posępność, która, jak się zdawało, stanowiła główny rys jego charakteru.

Znudzeni bezskutecznemi prośbami, rozeszli się niektórzy z naszych towarzyszów do swoich własnych namiotów, reszta zaś otuliwszy się w płaszcze, ułożyła się na ziemi, i zapadła niebawem w sen twardy i głęboki.

Tylko ja i kapitan Garbas czuwaliśmy nieznużeni, mimo utrudzającego marszu poprzedniej doby.

Kapitan siedział na ziemi, pochylony w głębokiem i posępnem milczeniu. Powierzchowność jego miała w sobie coś osobliwszego. Zaledwie od trzech godzin znałem go blizej, a już w tym krótkim przeciągu czasu wywarł na mnie trwalsze wrażenie niż niejedna osoba, z którą obcowałem przez całe miesiące i lata. Kapitan Garbas mógł mieć lat około 55, był średniego wzrostu, chudy, żylasty, krępy, cery brunatnej, odbijającej w szczególniejszy sposób od krótko strzyżonych i po wojskowemu uczesanych włosów, białych jak mleko. Rysy twarzy miał regularne, i musiały one być niegdyś bardzo piękne, dopóki jeszcze cierpienia czy też wiek i trudy nie przedłużyły owalu twarzy, nie pomarszczyły czoła, nie zasępiły ust, nie poorały jagód. W oczach tlił mu jakiś ponury, przerażający ogień, który całej fizyognomii temposępniejszy nadawał wyraz.

Zwrócony twarzą ku drzwiom namiotu, wlepił oczy w ciemną noc która panowała na dworze. A byłato noc letnia, pełna wspaniałego uroku, lubo pozbawiona wszystkich owych powabów, za któremi tęsknią marzyciele, kochankowie i poeci. Na niebie nie jaśniały te gwiazdy milionowe, które wydają się brylantami w płaszczu wszechmocnego stwórcy, powietrza nie napełniała ta cudowna harmonia ciszy i pogody, która przenika pierś najzimniejszego człowieka, z ziemi nie wiała upajająca woń ziół i kwiatów. Byłato noc pochmurna, ponura i ciemna, tuowdzie tylko mała blada gwiazda wnet jasnem zamigotała światełkiem, wnet gasła i kryła się za chmury, jak nasze nadzieje wśród walk i przygód życia.

Widok ten zdawał się wielce zajmować kapitana, bo nieprzerwanie patrzył w niebo.

Po chwili powstał z miejsca, i przybliżył się do mnie.

— „Pan tylko jeden nie żądałeś podobnoś, abym wyjawił moją tajemnicę?“ — rzekł, wpatrując mi się w oczy.

— „Mam moją własną maksymę w tej mierze“ — odpowiedziałem z uśmiechem.

— „A jakaż to maksyma, jeśli wolno zapytać?“ — odezwał się na to kapitan.

— „Zdaje mi się“ — rzekłem — „że człowiek rozsądny nie powinien gonić za tajemnicą, lecz tajemnica za nim.“

— „Więc w taki sposób czekasz może dobrowolnego wynurzenia się mojej?“

—„Bynajmniej! Tak zarozumiałym nie jestem. I kto wie zresztą, czym godzien ją usłyszeć.“

— „Pan nie jesteś Francuzem?“ — zapytał mię na to kapitan.

— „Jestem Polakiem.“

— „A, prawda!.... wiedziałem“ — szepnął w zamyśleniu. Nagle wstrząsł się na całem ciele.

— „Brr“ — rzekł po chwili — „czy wierzysz pan w przeczucia?“

— „Przyznam się“ — odpowiedziałem — „że dotąd nie zadałem sobie tego pytania....“

Kapitan zamyślił się, potem znowu wstrząsł się, i trąc ręką po czole, rzekł półgłosem, raczej do siebie samego niż do mnie:

— „I ja go sobie nie zadawałem, a przecież pewien jestem, że noc dzisiejsza jest ostatnią, którą przepędziłem na ziemi.... Więc po prostu wierzę w przeczucie....“

Po krótkiem milczeniu wlepił we mnie wzrok przenikliwy, i ozwał się znowu stłumionym głosem:

— „Tak panie... jestto niezawodnie ostatnia noc w mojem życiu, i dlatego też skłonny jestem do wynurzeń. Radbym przed śmiercią pozbyć całego ciężaru wspomnień, który zbyt długo gniótł mię za życia.... Lecz zechcesz-że pan posłuchać?“ — zapytał mię nagle z badawczem spojrzeniem.

— „Jeśli mię uznajesz godnym swojego zaufania, tedy mów kapitanie. Będę cię słuchał uważnie, a jak się spodziewam i nie obojętnie.“

Kapitan zamyślił się znowu, potem rzucił daleko od siebie niedopalone cygaro, i usiadłszy przy moim boku, zaczął opowiadać w następujący sposób:

— „Nie nazywam się Paweł Garbas, i nie jestem Francuzem. Właściwe moje imię jest Paolo Garba, a ojczyzną moją Kalabria.

W roku 1809 licząc dopiero lat 15, pasłem trzodę owiec u Antonia, pewnego zamożnego dzierżawcy w pobliżu Mortarano. Folwark Antonia Paese, położony na małym wzgórku, panował nad prześliczną doliną, która po jednej stronie przytykała do morza, a po drugiej gubiła się w borze ś. Eufemii.

Przypominam sobie tak wiernie tę cudną okolicę, jakgdybym dziś jeszcze zachwyconem wodził po niej okiem, i dziś jeszcze patrzył się na te skromne zabudowania, pod które co wieczór spędzałem moje trzody, i na tę łąkę kwiecistą, na której tyle snów przemarzyłem i tyle piosnek przenuciłem. A przecieżto dzieli mię od nich trzydzieści ośm lat oddalenia i tęsknoty!

W pewien dzień jesienny wygnałem był trzodę moją w zarośla tuż pod lasem, a gdy nadszedł czas powrotu do domu, okazało się że dwóch owiec nie dostaje do liczby.

Rozpacz ogarnęła mię na to odkrycie. Bo też i sam kochałem te małe, łagodne zwierzątka jak moje siostry rodzone, i Antonio także baczne na nie miał oko, i pewnie nie puściłby płazem tak znacznej straty. Nie pozostało mi nic inego jak szukać owiec czemprędzej w pobliskim lesie. Zagnawszy tedy pozostałą trzodę do obory, pospieszyłem mimo zapadającego już zmroku w głąb boru.

Już od pół godziny biegłem bez wytchnienia wązką i krętą ścieżką, która co krok gubiła się w gęstych zaroślach, gdy wtem stanąłem wśród obszernego jaru, okolonego ze wszystkich stron olbrzymiemi bukami.

W jednym zakręcie wądołu, jakby zaczajona w cieniu lasu, stała skromna chata drewniana. Lekkie kłęby dymu wznosiły się z jej komina, a w progu rysowała się wyraźnie postać człowiecza. Byłoto młode dziewczę w moich niemal latach, które zaledwie ujrzawszy mię, poskoczyło naprzód z radością, i zawołało zdala wesoło:

— „Jestem pewną, że to twoje owce.“

I zanim jeszcze zdołałem się odezwać, opowiedziała mi uradowana, jak przed godziną wyszedłszy w las po chrust, ujrzała naraz dwie zabłąkane owce, bieżące ku niej w wielkim popłochu, jak gdyby je ścigał jaki źwierz drapieżny. Sama jedna nie śmiała zapuścić się w głąb lasu dla odszukania trzody, od której się odstrychnęły; postanowiła więc zapędzić je do chaty, i czekać aż dopóki nie zgłosi się właściciel.

Wszystko to mówiła dziewczyna tak słodkim głosem, z taką prostoduszną szczerością, że sam nie wiedząc czemu, rozrzewniłem się w głębi serca. Chciałem jej podziękować, lecz niepodobna mi było dobrać stosownych słów. Pochwyciłem ją tylko za obie ręce, i mocno przycisnąłem je do piersi.

Ona nie broniła mi tego. Spozierając na mnie wzrokiem anielskiej niewinności, zapytała mię tylko jak się nazywam?

— „Paolo“ — odpowiedziałem. — „A ty?“

— „Luisella.“

— „Dobrze więc, Luisello! dziękuję ci z całego serca“ — rzekłem, i oddaliłem się wolnym krokiem z moją zgubą odszukaną.

Odtąd przestały już owce zajmować pierwsze miejsca w mojem sercu. Oprócz nich znałem już kogoś innego w świecie. Nie potrzebuję mówić, że niebawem skierowałem się znowuż na ową wązką i krętą ścieżkę, że znowu zapuściłem się w głąb lasu, a ujrzawszy Luisellę raz jeden i drugi, zakochałem się w niej z całym zapałem pierwszej miłości.

Byłato jeszcze miłość prawie na poły dziecinna, czysta i naiwna, świeża i szczera jak poranek lub jak sam wiek młodociany.

Ujrzeć Luisellę, usiąść na chwilkę przy jej boku, dogodzić każdemu jej zachceniu, sprawić jej jakąkolwiek przyjemność, było moją największą rozkoszą — było mojem życiem całem. Wszakże przy tem wszystkiem spostrzegłem z niespokojnością, że Luisellę dręczył jakiś smutek głęboki i tajemniczy. Ilekroć zapytałem ją o przyczynę tego sprzecznego z jej wiekiem usposobienia, nie dała mi nigdy stanowczej odpowiedzi. Nigdy też nie pozwoliła mi przestąpić progu swej chaty, a były dnie, kiedy wśród najżywszej ze mną rozmowy, porywała się nagle z miejsca, i zaklinając mię, abym jej nie towarzyszył, odbiegała spiesznie w głąb lasu.

Napróżno próbowałem z początku odsłonić tę dziwną tajemnicę, która ją otaczała. Dopiero po dłuższym czasie natchnęła ją miłość moja nieco większem zaufaniem. Opowiedziała mi pewnego razu, że mieszka razem z ojcem w tej chacie, lecz że ojciec jej prawie zawsze przebywa *w polu*, i rzadko tylko zjawia się w domu, po większej części w nocy, aby zaopatrzyć się w proch i żywność, i wyruszyć znowuż do walki z tysiącznemi przygodami i niebezpieczeństwy. Jąkając się, z spuszczonemi na dół oczyma, wypowiedziała mi wreście imię swojego ojca. Nazywał się on Teodoro Miletto.

Dreszcz przejął mię na to zwierzenie. Wiedziałem co znaczy wyrażenie się *bawić w polu*, i znałem już z imienia Teodora Miletto. Byłto jeden z tych zawziętych Kalabryjczyków, co nie chcąc ukorzyć się przed narzuconym królem Joachimem Muratem, jęli się najprzód wojny partyzanckiej, a w końcu rzemiosła otwartych bandytów. Pojąłem teraz, dlaczego Luisella była zawsze tak smutną, tak niespokojną. Los podobnych rozbitków partyzanckich stawał się od dnia do dnia niepewniejszym i straszniejszym.

Rozgniewany król Joachim postanowił energicznemi środkami przywrócić ład i porządek w buntowniczej prowincyi. Przedwszystkiem chodziło mu o wytępienie band zbójeckich, resztek dawnych korpusów partyzanckich, które nietylko przerywały wszelką kommunikacyę w kraju, ale nadto o ogromne straty przyprawiały wszystkie pomniejsze oddziały wojsk francuskich.

Na początku zimy r. 1809 mianował król Joachim gubernatorem Kalabryi jenerała Manhés. Zaszczycony nieograniczonem pełnomocnictwem królewskiem, przybył nowy gubernator z znacznem wojskiem do niespokojnej prowincyi. Stanąwszy główną kwaterą w Cosenza, tak dobrze użył sił swoich, że w przeciągu kilku tygodni nie było już ani jednej bandy zbójeckiej w kraju. Wprawdzie mnóstwo jeszcze niedobitków tułało się po lasach pobliskich, lecz tych spodziewał się wódz francuzki przyprowadzić głodem do poddania się.

Aby zaś przeszkodzić wszelkiemu znoszeniu się z schronionemi w lesie niedobitkami, wydał następujące surowe rozporządzenie: Ktokolwiek z mieszkańców, bez różnicy płci i wieku, pochwycony zostanie z żywnością w drodze do lasu, będzie natychmiast rozstrzelanym. Tejżesamej karze ulegnie każdy oddział milicyi krajowej, który w ściganiu zbójców okaże opieszałość albo złą wolę. Podpadnie też doraźnej karze śmierci każdy wójt albo burmistrz, przekonany o sprzyjanie bandom zbójeckim. Nakoniec każde sioło lub miasteczko, któreby się poważyło przechowywać u siebie ściganych niedobitków, zostanie spalone i z ziemią zrównane, wszyscy zaś męzcy mieszkańcy ulegną natychmiast poborowi wojskowemu.

Takie było położenie naszej okolicy, takie środki do przywrócenia w niej spokoju i posłuszeństwa, kiedy zalana łzami Luisella, przerywanym od łkania głosem, opowiadała mi swoją tajemnicę.

A niebawem zwiększyły się jeszcze niebezpieczeństwa, wiszące nad głową jej ściganego ojca. Dla schwytania resztki niedobitków, ukrytych w lesie ś. Eufemii, przybyły do Mortarano dwie kompanie konnych karabinierów. Całym oddziałem dowodził kapitan Gogouillot; najpierwsze po nim miejsce zajmował porucznik Alberyk d'Offanges.

Byłto młodzieniec o najwięcej dwudziestu i pięciu latach, śmiałej i udatnej postawy, dumnej i ładnej twarzy. W jego rysach regularnych, w spojrzeniu żywem i wesołem,

*

w uśmiechu nieco zmysłowym, niktby nie dostrzegł był ani cienia okrucieństwa. Nieraz pasąc trzodę moją przy gościńcu od Mortarano, widywałem Alberyka uganiającego na koniu z dumnem wejrzeniem, z wyprężoną w siodle postawą, pełną wdzięku i wytworności.

Byłażto prosta nienawiść przeciw ciemięzcom, czy zazdrość na widok osobistych zalet cudzoziemca, czy jakieś przeczucie nieświadome — dość że od pierwszego wzroku znienawidziłem młodego porucznika, jak jeszcze nikogo w życiu.

Tymczasem trzy miesiące trwał już surowy stan rzeczy w Mortarano. Przeminęła już zima, drzewa i łąki ustroiły się powoli w uroczą barwę wiosenną. Moje schadzki z Luisellą stały się w ciągu tego czasu coraz to rzadsze. Taki bowiem panował popłoch dokoła, że Antonio zabronił mi wychodzić na krok z swojej gospody. Czasami udawało mi się uspić jego czujność, a wtedy ukradkiem wymykałem się do lasu, i widywałem Luisellę. Jej ojciec błąkał się jeszcze wolny, i jakby cudem uchodził pogoni francuzkiej.

Podczas moich coraz rzadszych i krótszych schadzek z Luisellą spostrzegłem z niepokojem, że jakaś nowa zmiana zaszła w jej usposobieniu.

Przynajmniej w obcowaniu ze mną nie była już tak szczerą i serdeczną jak w pierwszych czasach naszego poznania. Pojmowałem jej ciągły smutek i niepokój, lecz żadną miarą nie mogłem odgadnąć przyczyny nagłego ku mnie zobojętnienia. W jej spojrzeniach nie dostrzegałem już ani zaufania dawnego ani owej anielskiej czułości, która dawniej upajała mię niewysłowionem szczęściem i rozkoszą.

Zapytałem ją o powód tak uderzającej zmiany. Luisella zarumieniła się z lekka, i dopiero po chwili odpowiedziała z niejakiem zakłopotaniem, iż widząc ojca otoczonym tylą niebezpieczeństwy, nie może sama zdać sobie sprawy ze swoich uczuć i swego dzisiejszego usposobienia. Nie zaspokoiła mię podobna odpowiedź; jakieś dręczące podejrzenie wkradło się nagle w moje serce. Rzekłem jej razu pewnego, że już za pierwszem poznaniem poprzysiągłem nazwać ją kiedyś moją narzeczoną.

— „Dziś“ — dodałem rozrzewnionym głosem — „słodkie to imię byłoby pocieszeniem w naszym smutku i niepokoju, byłoby podporą w naszej wzajemnej niedoli. Zmieńmy więc nasze pierścionki.“

Na te słowa pobladła Luisella. Spojrzawszy na mnie wzrokiem, w którym przebijały się jednocześnie i wdzięczność i żal i jakieś osobliwsze zmieszanie, rzekła mi smutnie, usuwając naraz rękę swoją z moich uścisków.

— „Aż po wojnie... dziś byłoby to zbrodnią.“

Gdybym był cokolwiek starszym i skłonniejszym do zastanowienia się, musiałoby mię było uderzyć, jakim sposobem ojciec Luiselli, ów głośny Teodoro Miletto, zdołał dotychczas ujść pogoni wojsk francuzkich, które ścigały go wszędzie z jaknajwiększą natarczywością. Wówczas jednakże nie dziwiło mię to bynajmniej, a odpowiedź Luiselli zasmuciła mię wprawdzie, lecz nie wznieciła we mnie najmniejszego podejrzenia.

Dwa miesiące upłynęły po tym wypadku. Widzenia się nasze z Luisellą stawały się coraz rzadsze, i trudno było nawet zastać ją w miejscu zwyczajnem. Mówiła mi, że musi donosić żywności ojcu, ukrytemu w głębi lasu ś. Eufemii.

Pewnego poranku zapuściłem się z trzoda moją dalej ku lasu niż mi tego pozwalał zwykle Antonio. Błąkając się okiem po lesie, spostrzegłem jakąś wysmukłą postać w bieli, przesuwającą się chyżo między zarośla.

Poskoczyłem w tę stronę, i poznałem Luisellę.

— „On głodny!“ — rzekła mi zcicha.

A oko jej płonęło gorączkowym żarem, na twarzy majaczył febryczny rumieniec.

Nie odpowiedziałem jej ani słowa. Milcząc zagnałem trzodę do obory, a po kilku chwilach powróciłem z dwoma bochenkami chleba i sporym kawałem baraniny w torbie.

— „W której stronie lasu przebywa twój ojciec?“ — zapytałem Luisellę. — „Urodzony i wychowany w pobliżu, znam cały bór ś. Eufemii jak moją własną oborę.“

— „O, nie, nie!“—zawołała żywo Luisella— „daj mi torbę; ja sama zaniosę wszystko.“

— „Sam wystarałem się żywności“ — odrzekłem — „sam też zaniosę ją. Czy zapominasz Luisello, że wyprawa taka zagraża śmiercią?“

Wymówiłem te słowa prostodusznie, nie przywiązując do nich żadnego głębszego znaczenia. Usłyszawszy je wszakże Luisella, upadła na kolana, i spojrzała na mnie z wyrazem uwielbienia i czułości, jakiej dotąd nigdy jeszcze nie spostrzegłem był u niej.

— „Paolo!“ — szepnęła — „czy zawsze jeszcze chcesz być moim narzeczonym?“

Miasto odpowiedzi upadłem i ja na kolana, i klęcząc wymieniliśmy oboje nasze pierścionki.

Poczem porwawszy się chyżo z miejsca, rzekła mi Luisella:

— „Chodź Paolo! ja pójdę z tobą!“

Nie mogłem w żaden sposób odwieść ją od tego postanowienia. Puściliśmy się razem w głąb lasu. Po czterogodzinnej niemal podróży, odbytej z trudem i mozołą, stanęliśmy wreście w najdzikszym ostępie lasu.

Przed nami jeżyła się pochyła skała, otoczona dokoła gęstwiną dzikich winogron i innemi rozłożystemi krzewami. Oczekiwał tam Teodoro swojej córki.

Opowiedziała mu Lnisella zaraz po pierwszem powitaniu, na jaki krok odważyłem się dla niego.

Miasto podziękowania zmierzył mie Teodoro od stóp do głowy przeszywającem spojrzeniem, a rzucając się z zwierzęcą żarłocznoście na przyniesioną żywność, rzekł naraz do Luiselli:

— „Chceszże, aby ten człowiek pozbawił mię życia?“

Nie zrozumiałem znaczenia tych wyrazów. Luisella zarumieniła się; lecz Teodoro nie zważał na to i ciągnął dalej:

— „Od trzech dni nic nie jadłem, zmuszony opuścić schronienie w Gemigliano, gdzie mi tak dobrze było. Czyjaż w tem wina?“

Luisella pochyliła głowę w milczeniu. Ja stałem zdziwiony nietyle już zagadkowemi słowami Teodora, ile osobliwszym wyrazem jego twarzy, surowym dźwiękiem głosu i dzikim, otrętwiającym wzrokiem, jakim wiodł po nas obojgu.

— „Bywaj zdrów, ojcze!“ — rzekła naraz Luisella. — „Paolo musi wracać do swoich owiec.... Po jutrze odwidzę cię znowu.“

Teodoro zmierzył mię jeszcze raz tak dzikiem i groźnem spojrzeniem, że aż mi krew ścięła się w żyłach, a potem opuszczając podaną sobie rękę Luiselli, rzekł nieco łagodniej:

— „Do widzenia się, Luisello!... Bywaj zdrów Paolo!“

Wracaliśmy smutni i oniemieli. Luisella zwiesiła głowę, i nie śmiała już wesprzeć się na mojem ramieniu. Ja nawzajem nie śmiałem jej zapytywać, lubo w wielu względach jaknajrychlejszego pragnąłem wyjaśnienia. Gdyśmy wychodzili już z lasu, przezwyciężyłem moje wzruszenie, i nabierając śmiałości, zapytałem zcicha moją narzeczoną:

— „Luisello! co miały oznaczać słowa twojego ojca?“

— „Paolo! jeśli mię kochasz, nie pytaj mię nigdy o to“ — odpowiedziała łkając, i uciekła ode mnie.

Powróciwszy do domu, musiałem jeszcze znieść srogą burzę od Antonia, który spostrzegł ubytek żywności, i zapewne domyślił się ztąd przyczyny mojego oddalenia. Nie zatrwożyłem sie tem bynajmniej, wiedząc iż Antonio mimo swoje skąpstwo i tchórzostwo był zawsze człowiekiem uczciwym, niezdolnym zdradzić mojej tajemnicy.

Zdziwiłem się przecież niemało, gdy we trzy dni poźniej, wypędzając trzodę na paszę, ujrzałem się otoczonym przez czterech karabinierów francuzkich.

Obwiniono mię o donoszenie żywności zbójcom. Nie próbowałem zaprzeczać, bo i na cożby się to zresztą przydało? Pod dyktaturą jenerała Manhés być przytrzymanym, znaczyło jedno i tosamo co być sądzonym. A każdy sądzony mógł z góry pożegnać się ze światem.

Okutego w kajdany odprowadzono mię do Mortarano, i postawiono przed sądem wraz z kilkunastą innymi wieśniakami, o tęsamą zbrodnie obwinionymi.

Sąd wojenny składał sie z kapitana Gogouillot, adjutanta jenerała Manhés, i trzech innych oficerów, między którymi znajdował się także Alberyk d'Offanges.

Byłem ostatnim z uwięzionych. Reszte moich spółwinowajców osądzono jednogłośnie na rozstrzelanie. Przy mnie jednym zaszła niejaka różnica w zdaniach sędziów.

Kapitan Gogouillot i drugi porucznik głosowali bezwzględnie na śmierć; Alberyk d'Offanges wstrzymał się zupełnie od wyroku, a czwarty oficer stanął w mojej obronie, i zwróciwszy uwagę sędziów na moją zbytnią młodość, wniosł, aby mię ułaskawiono.

Wszakże sam jeden nie mógł przeważyć dwóch głosów poprzedzających. Toż i ja jak wszyscy inni zostałem skazany na rozstrzelanie.

Gdy nas wyprowadzono z izby sądowej, spostrzegłem iż porucznik Alberyk obrócił się nagle ku ścianie, jakgdyby się lękał spotkać moje wejrzenie.

Tymczasem wyznaczono czas naszego rozstrzelania na piątą godzinę po południu.

Na kilka minut przed oznaczoną godziną wyprowadzono nas za miasto ku lasowi ś. Eufemii. Pogoda była prześliczna, a powietrze tak przezroczyste, że oko moje sięgało aż w głąb boru. (D. c. u.)

O KARNAWALE I TAŃCACH.

Trudnoby dowieść etymologicznie, od czego właściwie pochodzi nazwa karnawału. *Adryan Politi*, jeden z najdawniejszych lexykografów włoskich, wywodzi pochodzenie tego słowa od łacińskich wyrazów *carne* i *vale*. W tymsamym duchu wyprowadzają je inni od *carno* i *avallere*, to jest żegnać się z mięsem. Pierwszy *Octavio Ferrari* był zupełnie przeciwnego zdania. Zarzucając przeciwnikom zbytnią trywialność domysłu, upatrywał on właściwy początek nazwy karnawału w słowie *carnalia*. Wszakże wszyscy prawie nowsi filologowie zgodzili się na pochodzenie karnawału od *carne vale*.

Same zwyczaje karnawałowe mają być tylko naśladowaniem rzymskich *saturnaliów*. Nabiera to tem większej prawdopodobności, ile że istotnie w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej przywłaszczyli sobie Chrześcijanie bardzo wiele starodawnych obyczajów pogańskich.

Zwyczaj szczególnego przebierania się istniał już za czasów rzymskich saturnaliów, jak o tem świadczy kilka ustępów w Martialu. *) Używane wówczas stroje nazywały się *syntheses*, i odznaczały się osobliwie u cesarzów i senatorów wytwornością i przepychem bez granic. Ztąd też wyrzuca *Martialis Naevolemu*, iż jego szafa z sukniami godowemi wyglądała jak „pstra grządka kwiatów“.

Prawdopodobne przypuszczenie, iż dzisiejszy karnawał jest tylko puścizną po Rzymianach, nabiera tem większej pewności, gdy sobie przypomnimy jeszcze inne uroczystości starożytnych, uderzające podobieństwem swojem do teraźniejszego karnawału. Chcemy tu mówić o takzwanych *Quirinaliach* czyli o święcie głupców *(festum stultorum)*. Według *Pellera* obchodzono je z takąsamą hałaśliwością, z jaką i dzisiaj obchodzą gdzieniegdzie ostatnie dnie zapustne.

Zwyczaj najdziwaczniejszego przebierania się o tej porze istniał już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, zarówno pomiędzy Chrześcijanami jako też poganami. I od tego już czasu znalazł on surowych przeciwników w duchownych chrześcijańskich, a zwłaszcza kaznodziejach. Czytamy np. w jednem z takich kazań przeciw zbytkom karnawałowym:

„Przypisując bożkowi Januszowi dwie twarze, mniemają Rzymianie, że i ludziom podobnież należy przybierać niekiedy postać odmienną, aby się przypodobać uwielbionemu bożkowi. Ku powszechnemu zgorszeniu idą za ich przykładem nawet i tacy, którzy przyjęli już chrzest święty; i przebierają się jedni i drudzy w tak potworny i grzeszny sposób, iż przychodzi nam raczej płakać niżli śmiać się nad nimi. Albowiem wydaje się nie do pojęcia, jak mogą znajdować się ludzie, którzy radzi przybierają postać dzikich zwierząt, i np. naśladują jeleni. Inni znowu okrywają ciało ludzkie bydlęcemi skórami, a jeszcze inni przyprawiają sobie głowy zwierzęce, ciesząc się jeśli ich kto w rzeczywistości weźmie za zwierzę; czem dowodzą na prawdę, iż skłonności zwierzęce przeważają u nich ludzkie uczucia. Bo lubo tylko w żarcie naśladują stworzenia bezrozumne, toć przecież pokazują aż nazbyt jawnie, iz serce u nich raczej bydlęce niż człowiecze.“

Najwięcej atoli gorszyli się gorliwi kaznodzieje udawaniem w podobnych maskaradach płci innej. „Mężczyzni“—czytamy dalej „przywdziewają szaty kobiece, i silne muszkuły męzkie zakrywają niegodnie białogłowskiemi strojami. Przyprawiając sobie maski cudzych twarzy, chcą oni uchodzić za białogłowy, i tracą rzeczywiście w swojem przebraniu niewieściem wszelką męzką odwagę, bo słusznie pozbawia sąd boży odwagi takich, którzy sami nie wstydzą się udawać białogłowy.“

Daleko więcej pobłażliwości doznawały tańce w dawniejszych czasach. Początek onych, równie jak pochodzenie karnawału, nie da się z zupełną pewnością oznaczyć dzisiaj. Erudyci nie zgadzają się w twierdzeniu, kto właściwie wynalazł taniec. Jedni przypisują go Kastorowi i Poluxowi, inni znowu Minerwie, która, jeżeli im wierzyć można, po upadku buntowniczych Tytanów chciała wymierzonemi skokami okazać radość swoją. Cały Olimp idąc za przykładem bogini, wziął się do tańca, i to ma być pierwszym początkiem balów.

Wszystkie ludy szczęśliwe tańcują; bo taniec jest prawie wszędzie żywem wyobrażeniem szczęścia. Jednakże jak utrzymuje *Pellepart*, niektóre hordy w Ameryce wyrażają swój żal i rozpacz przez taniec.

Spartanie i Kreteńczykowie szli tańcując do boju, tak jak niegdyś we Francyi nowozaciężni i starzy grenadyerowie. Słusznie więc zwyczaje wojennych ludów stały się dziedzictwem walecznych.

---

*) *Synthesibus dum gaudet eques dominusque senatus*
Nec timet aedilem moto spectare fritillo.

Trzeba jednak przyznać, że taniec nie we wszystkich narodach doznawał równych względów. W Rzymie tańczono tylko w teatrze albo w czasie *saturnaliów*, kiedy wszystkie rodzaje uciech były tolerowane. Zapewniają że Tyberyusz wypędził z miasta wszystkich tancerzy, a Domicyan kazał zdjąć togę senatorom lubiącym taniec. Te przykłady dowodzą, że wszyscy despoci są nieprzyjaciołmi radości.

Cożkolwiek bądź, zwracając uwagę naszą głównie na wesołą Francyę, widzimy że w kraju tym tańcują od niepamiętnych czasów, a lubo to niewinne ukontentowanie było ciągle celem prześladowania moralistów różnego wyznania, niemniej jednak tańcują od jednego końca Francyi aż do drugiego, w Paryżu zaś niezawodnie więcej jak gdzieindziej.

Rozważając naturę tańca i jego skutki, trudno sobie wystawić, czem mógł on ściągnąć na siebie pociski tak wielkiej liczby doktorów a nawet ludzi rozsądnych i wolnych od przesądu.

Genewa, to miasto Kalwina i Woltera, przyznające sobie chwałę osobliwszego światła, było długo nieprzyjaciołką tańca i muzyki. Dźwięk skrzypców nie mógł bezkarnie obijać się w jego murach, a młode dziewczęta nie śmiałyby były poskakać na weselu jednej ze swoich towarzyszek.

Addison potępia taniec i matki, które dozwalają tej rozrywki córkom.

Prawie wszystkie narody lubią taniec. Anglik traci nieco ze swojej ponurości w wesołym tańcu *szkockim;* ściśle wszystko rozważający Niemiec rozjaśniał niegdyś lica w *lendlerze*, a również poważny Polak lubił w chwilach wesołości uciąć *drabanta*. Można powiedzieć, że Francuz stworzony jest do tańca. Były jednak czasy trwogi i klęsk powszechnych, w których ta rozrywka opuściła ulubioną sobie stolicę, albo przybierała charakter szaleństwa i bezwstydu. Wróciły się czasy szczęśliwe. Terpsychora i jej siostra Erato, ukazały się znowu na wsi, w mieście i na dworze, i wszędzie wznoszą im nowe świątynie.

Kiedy taniec sceniczny coraz większe codziennie robi postępy, taniec towarzyski utracił dzisiaj na swojej dawnej wartości. Jedna *pirueta*, jedno *entrechat*, zapewniały niegdyś los pięknego młodzieńca, jedno *rond de jambe* albo *échappé* ustalały sławę młodej dziedziczki.

Nie tak teraz się rzeczy mają. Pragną żeby rozum człowieka nie w samych się tylko nogach znajdował, i żeby wychowanie kobiet nie na tem polegało, aby się pokazać rywalką bohaterek opery.

Ktokolwiek raczy przypomnieć sobie, że jeden z największych królów francuzkich, a razem jeden z najprzyjemniejszych ludzi swojego wieku, mieszał się niekiedy w grono tańcujących dworzan; że Matylda, żona Chrystyana VII, króla Duńskiego, lubiła taniec; że najznakomitsze osoby pozwalały sobie tej rozrywki, nie będzie ganił pobłażliwości, z jaką mówimy o tym kunszcie.

Potrzebaż jeszcze dodać, że taniec jest obrazem ukontentowania i szczęścia? Potrzebaż dodać, że jest potrzebą człowieka i zbawiennem dla zdrowia ćwiczeniem? Mamy za sobą najbieglejszych teoretyków, i byli nawet tacy, co łącząc praktykę z przepisami, przekonali że równie dobrze umią tańcować jak zapisywać receptę. Pominąwszy innych, wspomnimy tylko o sławnym lekarzu angielskim *Mead*, zapalonym stronniku tej gimnastycznej rozrywki. W 60 roku życia brał lekcye od sławnego Duprè, aby tym sposobem zmniejszył szkodliwy wpływ umysłowej pracy. A cóż powiedzą na to najpoważniejsi statyści, kiedy przytoczymy powagę samego Sokratesa? Mędrzec ten, który uczył się tańcować od Aspazyi, miał mówić swoim uczniom: „Śmiejecie się, widząc mnie tańcującego? Ale mamże się wydawać śmiesznym dlatego, że używam ćwiczenia które tak potrzebnem jest zdrowiu?“ Kto nie wierzy, niech odczyta *Plutarcha*.

Przysięga na bażanta. Kilką miesiącami przed zdobyciem Konstantynopola przez Turków r. 1454, przybyło na dwór *Filipa Dobrego*, księcia Burgundyi, poselstwo od cesarza Greckiego z prośbą o pomoc przeciw Turkom. Uniżone błagania cesarskie pochlebiły tak wielce nieco próżnemu księciu Burgundyi, iż postanowił uczcić posłów festynem, którego przepych i okazałość miały wprowadzić w zdumienie cały świat tamtoczesny. W niezmiernie obszernej sali zastawiono trzy stoły niesłychanej wielkości. Na jednym z nich stał okazały kościół i okręt z ciasta, istne arcydzieła sztuki piekarskiej. Drugi stół w kształcie podkowy dźwigał na sobie pasztet, o którego rozmiarach wtedy tylko dostateczne powe źmiemy wyobrażenie, gdy się dowiemy, że mieścił w sobie całą nadworną kapelę książęcą, która przygrywała podczas bankietu. W głębi sali wzniesiono wspaniały teatr, a nadworni komedyanci przedstawili na nim zdobycie złotego runa przez Jazona. Lecz wszystko to było niczem w porównaniu z przepychem, jaki nastąpił po zakończeniu widowiska. Niesłychanej wielkości olbrzym wszedł nagle do sali, prowadząc za sobą słonia, na którego grzbiecie siedziała niewiasta, mająca wyobrażać zagrożone od Turków chrześcijaństwo. Za zbliżeniem się do stołu książęcego wygłosiła dama tajemnicza rzewną prze-

mowę, wzywająca wszystkich obecnych do wyprawy wojennej przeciw niewiernym. Natenczas książe skinął na herolda złotego runa, a ukazała się natychmiast w sali piękna dziewczyna (naturalna córka księcia Filipa), niosąca w ręku bażanta o złocistym dzióbie i złocistych pazurach, mającego wyobrażać ewanielię. Na widok symbolicznego ptaka wstał książe Burgundzki, i zbliżywszy się do bażanta, rzekł uroczystym głosem: „Przysięgam najpierwej Bogu i Matce Boskiej, a potem wszystkim obecnym tu damom i temu oto bażantowi, iż skoro mój pan najmiłościwszy, król Francuzki, lub inny monarcha chrześcijański podniesie chorągiew krzyża świętego, i wyruszy przeciwko Bisurmanom, będę mu towarzyszył, i sam na sam skruszę kopię z Sułtanem, jeśli mu przyjdzie ochota do walki ze mną. Przykład księcia poruszył wszystkich obecnych. Wszyscy panowie i rycerze przystąpili do bażanta, i wykonali takąsamą przysięgę. Nie przyniosła ona wszakże żadnego skutku, a zamierzona wyprawa krzyżowa pozostała bez wykonania. Zanim bowiem przystąpiono do najpotrzebniejszych przygotowań wojennych, zdobyli Turcy Konstantynopol, a z upadkiem stolicy runeło na zawsze wschodnio-rzymskie cesarstwo.

Kosmato witać. W nowem dziele p. Antoniego Nowosielskiego *Lud Ukraiński* znajdujemy następujące objaśnienie tego wyrazu: „Kądziel w uroczystościach weselnych miała swoje miejsce. Podawano ją z wełną do rąk panny młodej, aby wyprzędła z niej nić. P. Kraszewski zanotował zwyczaj ludu wołyńskiego, wedle którego najbieglejsza we wsi prządka na cześć państwa młodych wyprzędza długą nić życia. Dopieroż zrozumiemy miejsce Festusa, objaśniające zwyczaj zasiadania na kożuchu: „Nowozamężna“ — mówi on — „zwykła usiadać na runie wełnianem, co ma służyć świadectwem, iż gotowa jest sporządzać tkaniny z wełny dla męża — *quod testatur lanificii officium se praestaturam viro.* Parki przędą życie ludzkie. Syryjska Afrodyta oprócz pasa miłości miała także kądziel. Z tego objaśni się nam także zwyczaj staropolski witania *kosmato* nowozaręczonych.“ Następuje uwaga o zwyczaju przebierania się ludzi w skóry zwierzęce, które w mowie mysteryów starożytnych czyli hieratyckiej miały oznaczać życie fizyczne, ziemskie, upadek dusz z życia wyższego i ich wędrówkę po świecie zmysłowym.

Chińska barwa zielona. Pomiędzy nowemi farbami, poznanemi w najnowszych czasach w Europie, zajmie wkrótce niepoślednie miejsce w dziedzinie farbierstwa chińska barwa zielona. Z polecenia lyońskiej izby handlowej zbadał ten ważny artykuł farbierski pewien zdolny chemik francuzki, i z jegoto sprawozdania wyjmujemy niektóre tu szczegóły. Wszystkie zwyczajne farby zielone, używane do farbowania materyj jedwabnych, są jak wiadomo mieszaninami farb niebieskiej i żółtej. Lecz w każdem świetle sztucznem, np. przy świecy, lampie lub przy świetle gazu, przeważają zawsze promienie żółte. Ztąd też przy oświetleniu rzęsistem bledinieją żółte barwy, a zielone przechodzą temsamem w niebieskie albo siwe, ile że wybladła barwa żółta była właściwą podstawą zieloności. Dla tej powszechnie znanej wady zielonego koloru, lękają się wszyscy kupować materye podobnej barwy, i to tem więcej, ile że suknie jedwabne bywają używane częściej przy podobnem świetle sztucznem niż w dziennym blasku słońca. Niezmiernej tedy wartości jest chińska barwa zielona, która jako pierwiastek farbierski nie traci koloru pod żadnym wpływem światła. Wszystkie odcienia barwy, które w teraźniejszych farbach zielonych bywały rezultatem mieszania pierwiastków żółtego i niebieskiego, można u nowo poznanej barwy chińskiej otrzymać przez mniejszy albo większy dodatek farby żółtej. Jedyną wadą nowego pierwiastku farbierskiego byłaby jego niesłychanie wysoka cena. Za jeden kilogram, niemal dwa funty, zapłaciła lyońska izba handlowa 533 franków. Nie zdaje się wszakże, aby ta zbytnia drogość początkowa wpłynęła niekorzystnie na rozszerzanie się nowej farby. Przy zbytkowych bowiem materyach wysokie ceny nie robią wielkiej różnicy a do tego jest nadzieja, że farba ta da się zaszczepić w Europie, i znacznie przeto ztanieje z czasem.

Łagodność króla Zygmunta Starego. Czytamy w starodawnych zapiskach: „Królowi Zygmuntowi sławnej pamięci, ojcu Zygmunta Augusta, trafiło się to, iż raz mając się umywać, zdjął z palców kilka kosztownych pierścieni, aby ich nie zmaczał, i dał je trzymać jednemu, który blisko stał, wrzkomo nie patrząc komu. Po umyciu, gdy się król o pierścieniach nie pytał, on dobry pan rozumiejąc, że król mając czem większem zabawioną głowę, nie tylko nie miał pomnieć komu je dał, ale ani tego, aby je miał kiedy na palcach, zadzierżał je u siebie. Wyjdzie dzień i drugi i trzeci, wyjdzie tydzień i drugi; miesiąc, kilka, aż rok; więc iż o pierścieniach nigdy wzmianka nie była, a u króla na palcach już drugie widział, miał za to pewnie, że i pożytek doma, i sława spełna. Tak że po roku, gdy się także król umywać chciał, i pierścienie już począł zdejmować z palców, ściągnął on dobry sługa rękę po nie. A król mu, schyliwszy się do ucha, poszeptał: Miej dosyć na pierwszych, bo te przygodzą się komu drugiemu. I trefne i mądre i bardzo miłościwe to było rzeczenie.“

Początek kawy. Podaliśmy niedawno bajkę japońską o nastaniu herbaty, dziś przypomnimy tradycyę arabską o wprowadzeniu w użycie kawy. W pierwszych czasach mahometanizmu mieszkała w Mece pewna kobieta wraz z córką, zajęta opatrywaniem i przyjmowaniem w swoim domu biednych pielgrzymów. Wkrótce jednakże oskarżono obie niewinnie, jakoby przestępowały prawa miłosierdzia, dozwalając rozpusty pod swoim dachem. Rozgniewany Szejk wypędził je z Mekki. Nędza i zgryzota ukróciły im życia. Córka skonała w kilka dni po śmierci matki. Litościwy przechodzień zagrzebał ich ciała pod drzewem kawowem. Niedługo potem rozszerzyła się zaraza w kraju. Szejk pierwszy padł jej ofiarą. Następca jego, przypisując tę klęskę słusznej karze niebios za wyrządzoną niewinnym kobietom krzywdę, rozkazał mieszkańcom obmywać się wyciskiem z liści drzewa kawowego, pod którem spoczęły nieszczęśliwe. Byłoto według wyobrażeń oryentalnych jedynym środkiem zmazania winy i przebłagania niebios. Dziwne lekarstwo skutkowało, zaraza ustała; a wierni Muzułmanie zaczęli od tej chwili pijać wycisk zbawienny. Zamiast liści użyto potem samegoż owocu. Powoli nowy ten napój rozszerzył się po całym kraju.

Przypowieści. — Doma strojny, na wojnie hojny, u dworu myśliwy, w karczmie zwadliwy, nigdy nie wskóra.

Dwa razy żona męża biła: raz że ogórki łupił, drugi raz że jabłek nie łupił.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*